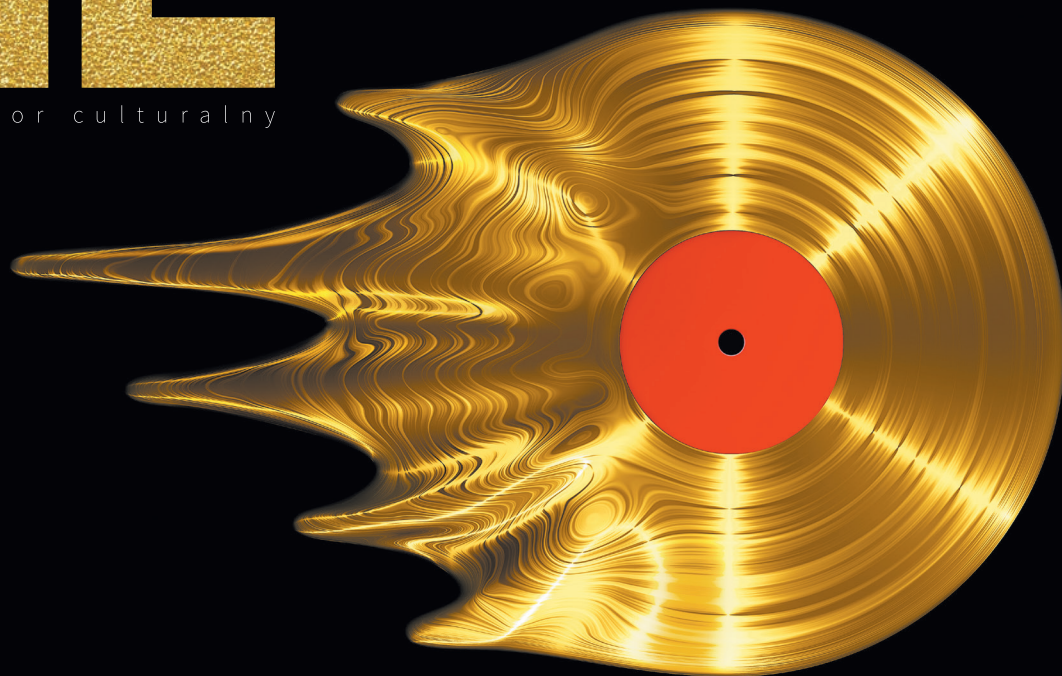


#12

MiC

muzyczny informator culturalny



WINYLOWA GORĄCZKA

DEVENDRA BANHART

małpa w kolorze marmurowego różu

ADWOKAT PRZYODZIANY W CZERŃ

Johnny'ego Casha walka o sprawę

MÓJ PRINCE

subiektywne wspomnienie artysty



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

WRZESIEŃ 2016
ISSN 2299-6273

DONGURALESKO



01.10.2016
SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:
30 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
40 ZŁ W DNIU KONCERTU

DŁUGA PŁYTA



15.10.2016
SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:
35 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
45 ZŁ W DNIU KONCERTU

LIPALI

03.12.2016
SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:
35 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
45 ZŁ W DNIU KONCERTU



MIC

m u z y c z n y i n f o r m a t o r c u l t u r a l n y

4 WSTĘPNIAK

/ wrzesień nadchodzi bez zapowiedzi

6 SHORTY

/ newsy, ciekawostki, informacje

8 WINYŁOWA GORĄCZKA

/ rytuał i pozytywny szpan

10 MÓJ PRINCE

/ subiektywne wspomnienie artysty

12 HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI

/ Johnny'ego Casha walka o sprawę

14 GALERIA

/ zdjęcia z letnich koncertów NCPP

18 WCIĄGNIJ BRZUCH – SYLWETKA

/ Devendra Banhart

21 SZAFA GRAJĄCA

/ SWANS „When Will I Return”

23 ZALECA SIĘ

/ recenzje

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie

www.ncpp.opole.pl

WSTEPNIAK

#12

tekst: Marek Szubryt

Nie wiem, jak to możliwe, ale właśnie trzymacie w rękach dwunastego już MIC-a. Szósty, ósmy może, ale dwunasty? Nie chce być inaczej, ale jak do tego doszło, kiedy? Z tym zaskoczeniem jest trochę jak z pogodą w Polsce, tzn. jeśli posiadamy jakąś cechę narodową, to z pewnością jest nią zaskoczenie i wieczne niezadowolenie z pogody, jaka panuje w naszym kraju. Wiecznie zdziwieni: a to jest za zimno, za ciepło, zbyt deszczowo, już słońce nie świeci tak, jak powinno (mocno/słabo?), lato krótkie, zima nieśnieżna, śnieżna, poza tym teraz te zimy to już nie to co kiedyś (to może akurat być prawdą), jesień deszczowa, chłodna, plucha, posucha i tak dalej, i tak dalej. Jedno tylko jest pewne: zarówno wiosna, lato, jesień, jak i zima są nie takie, jak być powinny. Warto jednak zauważyć, że nie żyjemy na południu ani w krainie wiecznej wiosny na Maderze, żyjemy w Europie Środkowo-Wschodniej i najbardziej adekwatnym określeniem klimatu, jaki tu panuje, jest przejściowość, co nie powinno dawać nadziei na łagodne, ciepłe i stabilne warunki atmosferyczne! Ale dlaczego to piszę? Tu muszę

wtrącić, że dla mnie nigdy nie jest za ciepło, ośmiście mógłbym wygrzewać się jak żmija na kamieniach i kiedy w lipcu czy sierpniu słyszę „ale upał, mogłoby przyjść ochłodzenie”, trafia mnie szlag i mam ochotę jak w popularnym memie Batman Robina dzielić płaskaczem i powiedzieć: zamknij się, jest lato! Mimo że staram się jak mogę, jestem Polakiem i okazuje się to silniejsze ode mnie, dlatego muszę powiedzieć, że tegoroczne lato... Jak co roku żyłem nadzieją, że się powygrzewam, że popływam w jeziorach i basenach, że pomrużę oczy i nabieram gorąca na resztę roku, a tu nic! Nie dość, że – jak śpiewał Kazik – „tylko zimno i pada, zimno i pada na to miejsce w środku Europy”, to jeszcze bum! Wrzesień. I jak co roku: zdziwiony. Że to już, koniec, po wszystkim? Ale jak to? Ano tak to. Nie wiem, kiedy to zleciało, ale jest. Na początku podstępnie, tylko nocami, by po chwili nie pozostawić złudzeń i powiedzieć: to ja – jesień. Słowem, wrzesień mnie nachodzi bez zapowiedzi. Jak wiadomo, ta cykliczność nie zaskakuje tylko mnie, dlatego oddam głos innym, którzy ujęli to znacznie lepiej. I mimo wszystko życzę wytrwałości oraz miłej lektury.



"KALORYFER"

autor: Adam Łona Zieliński

Co za dzień to zakrawa na żart ten krawat na kark
Rano, a potem kawa na start posiada na garb
Kiedy wrażenie sprawiam jak wrak
I jeszcze prąd wylłączyli muszę śniadać unplugged
Jest źle, nie było wcześniej mi tak
W kręgosłup jakiś ból mnie wszedł i boleśnie tkwi tam
Może dysk mi wypadł, albo bliski mi tak zgon
Bo komu bije dzwon, temu bije dzwon
Mi jeszcze nie bije, ale perspektywy i tak mam blade
Bo najgorsze ma dopiero nadejść
Kompletny upadek i przerwany Chocholi Taniec
Bo kaloryfer jest gorący – włączyli ogrzewanie
To nie jest miłe, nie jest dobrze, jest źle o tyle
Że przyszła jesień znowu, ja ją znowu przeoczyłem
I znowu czas mnie nadgryzł ten czas co ma zęby nieeliche
A wszystko przez ten kaloryfer

Jak to jest, że nieoczekiwanie
Centralne ogrzewanie tak splata mi się z przemijaniem
Przekleństwa cedzę przez zęby, jest na co cedić
Kiedy jesień mnie nachodzi bez zapowiedzi
Jak to jest, że nieoczekiwanie
Centralne ogrzewanie tak splata mi się z przemijaniem
Przekleństwa cedzę przez zęby, jest na co cedić
Kiedy jesień mnie nachodzi bez zapowiedzi

Do dziś, trudno tak na wstępie orzec
Ale żyłem z myślą, że jest jakoś późny sierpień może
Wczesny wrzesień, ale mimo wszystko lato w pełni
A tu jesień mi gruchnęła przez grzejnik
Taki wyrok bez sądu, bez prokuratorów
Następna jesień, strach pomyśleć która to już
Bez zapowiedzi, bez jednego słowa wcześniej
Szczecińskie Ciepłownictwo mnie doświadczyło tak boleśnie
Tli się, ale już gaśnie płomyk dla mnie
I tak strasznie boli, że czas mnie goni nieustannie
Czas co włączył ogrzewanie tak niecznie
A może krzyknąłem właśnie – „chwilo, trwaj wiecznie!”
I nagle myśl błyska co pewnie pogrzebie mnie
Żeby wyrwać z tej jesieni choćby jeden dzień
Więc chuj z kaloryferem, zakręcam go nie bez obaw
Czy to się uda? nie wiem, warto spróbować

Jak to jest, że nieoczekiwanie
Centralne ogrzewanie tak splata mi się z przemijaniem
Przekleństwa cedzę przez zęby, jest na co cedić
Kiedy jesień mnie nachodzi bez zapowiedzi
Jak to jest, że nieoczekiwanie
Centralne ogrzewanie tak splata mi się z przemijaniem
Trudno, skoro tak się splata, to proszę bardzo
Wylłączam kaloryfer, wolę już marznąć

SHORTY

PREZYDENCKA BALANGA

Nie, nie chodzi o słynne bale byłego prezydenta, który nader często cierpiał na kontuzje goleni, ale o imprezę u Baracka Obamy, który na celebrację swoich 55. urodzin zaprosił całą plejadę gwiazd. Na scenie Usher i Steve Wonder, a wśród gości m.in. Jay-Z, Beyonce, John Legend i Kendrick Lamar. Trzeba przyznać, że odchodzący prezydent ma rozmach. Wyobrażacie sobie takie party w Polsce? My również nie.



Michał Mościcki

KIEDY HIP-HOP SPOTKAŁ DISCO



Nie wiem, czy to już moda, ale po serialu HBO „Vinyl” swój kamyczek do tego serialowo-muzycznego ogródka postanowił dorzucić Netflix. Mowa o serialu „The Get Down”, który opowiada o Nowym Jorku, a dokładnie o dzielnicy Bronx w latach siedemdziesiątych, gdzie niepodzielnie rządziła muzyka disco i zaczęła się tworzyć nowa kultura hip-hop. Za reżyserię odpowiedzialny jest Baz Luhrmann, czyli reżyser takich obrazów jak „Romeo i Julia”, „Moulin Rouge” czy „Wielki Gatsby”. Narratorem jest nie kto inny jak Nasir Jones, czyli Nas. A sam Grandmaster Flash był jednym z konsultantów oraz pomagał w pisaniu scenariusza. Budżet 13-odcinkowego serialu wyniósł 120 milionów dolarów. Wszystko to zapowiada się naprawdę niezłe. Nie pozostaje nic innego, jak powiedzieć: sprawdzam.

Michał Mościcki

PROSTE MARZENIA

Po pięciu latach ciszy swoje nowe wydawnictwo zapowiada kierowana przez Justina Vernona grupa Bon Iver. Sprawa jest tym bardziej ekscytująca, że po bardzo dobrze przyjętej płycie „Bon Iver, Bon Iver” lider zespołu wypowiadał się dość sceptycznie o przyszłości grupy. Ale teraz już wiemy, że nowy album, zatytułowany „22, A Million”, ukaże się 30 września nakładem wytwórni Jagjaguwar. Dwóch utworów z nadchodzącej płyty możemy już posłuchać w sieci, a zespół zdążył także odegrać cały album na żywo, podczas festiwalu Eaux Claires Music Festival w Wisconsin. Miejsce to nie było dziełem przypadku, gdyż to właśnie stąd pochodzi zespół (i tu zaczęła się jego przygoda z muzyką, czemu grupa dała wyraz emocjonalnym wpisem na swej stronie internetowej), a sam Justin Vernon jest dyrektorem artystycznym festiwalu. Zacieram ręce i czekam.



Rafał Czarnecki

ZBĘDNE GADŻETY BY NINJA I YO-LANDI

W dziewiątej odsłonie MIC-a przedstawialiśmy szerokie spektrum muzycznych gadżetów sygnowanych przez gwiazdy. Od lalek Barbie aż po linie piwa i whisky. Wszystkich przebili jednak członkowie najbardziej nieodgadnionej grupy we wszechświecie, czyli Die Antwoord. Otóż słynny duet zaprezentował światu swoją linię... konopi indyjskich. We współpracy z kalifornijską firmą specjalizującą się w produkcji medycznej marihuany kosmicznej z RPA stworzyli czekoladę, białaczki i spray z dodatkiem konopi. Stwierdzamy, że to absolutnie niepotrzebne wynalazki. Wszyscy wiedzą, że sama muzyka Die Antwoord zapewni zdrowy „odlot”.



Michał Mościcki

BEE GEES NA KOLEJNEJ PŁYTCIE MASTODONA

Już dawno wizja października i listopada nie rysowała się tak przyjemnie. Wszystko za sprawą grupy Mastodon, która ustami swojego gitarzysty zapowiedziała wejście jesienią do studia. Według przecieków możemy liczyć na dwupłytowe wydawnictwo, które ukaże się w 2017 roku. Wiadomo na pewno, że będzie to solidna porcja ciężkiego grania, ale czego dokładnie można się spodziewać? O części materiału gitarzysta Brent Hinds mówi tak: – Pierwszą część albumu skomponowałem i nagrałem razem z Brannem Dailorem i Troyem Sandersem jeszcze w trakcie sesji nagraniowych „Once More ‘Round the Sun”. Nazywa się „Cold Dark Place” i opowiada o paskudnym rozstaniu, którego doświadczyłem. To całkiem mroczna, piękna, melancholijna i nieco przerażająca muzyka, która jednocześnie brzmi trochę jak Bee Gees. Drugą płytę komponuje reszta członków zespołu, bez udziału Hindsa, który będzie miał udział jedynie w aranżacji. I bez Bee Gees.



Marek Szubryt

KONCERT

ØRGANEK

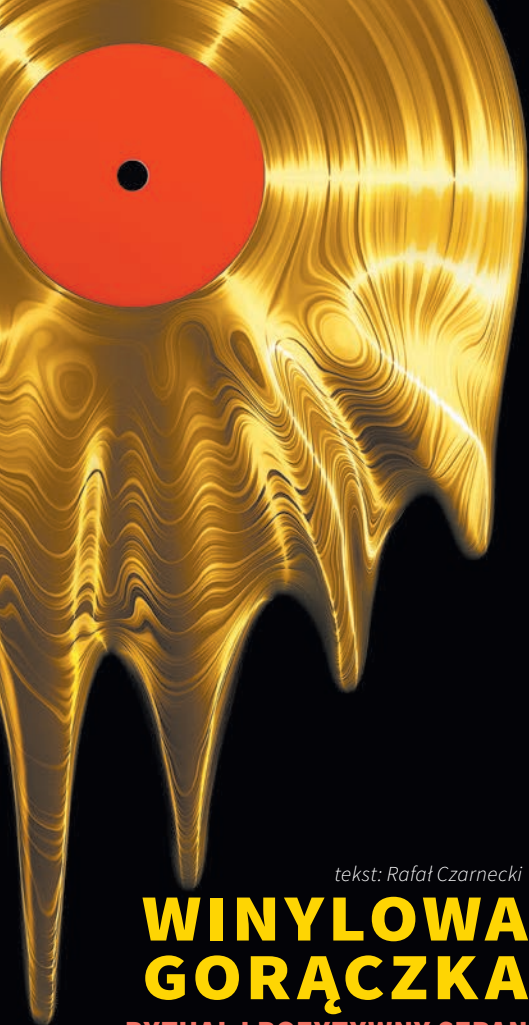
05 / 11 / 16

SALA KAMERALNA NCPP



BILETY:

45 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
55 ZŁ W DNIU KONCERTU



tekst: Rafał Czarnecki

WINYŁOWA GORĄCZKA

RYTUAŁ I POZYTYWNY SZPAN

Wraz z urodzeniem się mej latorośli skończyć się miał świat, jaki znam. Dosłownie wszystko miało legnąć w gruzach lub przynajmniej zostać odłożone na później. Wydatki na drobne przyjemności miały stać się wydatkami na pieluchy, ubranka i zabawki. Przynajmniej tak wieszczili znajomi, którzy temat znają. Jako pasażer pikującego samolotu postanowiłem więc spełnić jedno ze swych minimarzeń. Kupiłem gramofon. Przepadłem.

DOLARY, MARKI, FUNTY, JENY

Od kilku lat w prasie i internecie pojawiają się artykuły wieszczące powrót mody na winyle. Trochę to zabawne, bo ten trend już zadomowił się na tyle, że nie ma co mówić o pojawiającej się modzie. Można już, a nawet należałoby pisać o winylomanii. No bo jeśli Tesco w Wielkiej Brytanii (w 2014 r.) wprowadza winyle do sprzedaży detalicznej, to wiedz, że coś się dzieje. Ale najdobitniej widać to chociażby po rosnących liczbach sprzedaży. Z roku na rok winyle wykrawają coraz większy kawałek muzycznego tortu. W Stanach Zjednoczonych w pierwszym półroczu 2015 roku przychód ze sprzedaży czarnych krążków przerósł dochody uzyskiwane z reklam, jakie towarzyszą darmowemu odsłuchiwaniu muzyki na takich platformach jak Spotify, YouTube czy Vevo. A tendencje zwykliwe

sprzedaży popularnego placka nie ustają. Bo jak głosi raport RIAA, w pierwszym kwartale tego roku w USA ten współczynnik sprzedaży wzrósł o ponad 50% (względem roku ubiegłego), co daje ponad 20-procentowy udział w rynku wszystkich sprzedanych fizycznych nośników muzyki. W Polsce ten trend jest także odczuwalny. Na stronie internetowej Związku Producentów Audio-Video w podsumowaniu sprzedaży roku 2015 możemy wyczytać: „Najbardziej spektakularny wzrost notują płyty winylowe. Ich wartość w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosła o 56,90%, osiągając sprzedaż na poziomie 12 mln zł. Największy udział w rynku płyt winylowych mają artyści zagraniczni, którzy stanowią ponad 70%, jednak polscy artyści systematycznie rosną w siłę, podwajając w roku ubiegłym wyniki sprzedaży z ponad miliona złotych w roku 2014 do prawie 2,3 mln w roku 2015”.





ALCHEMIA WINYLA

W Polsce od 25 lat nie działała żadna tłocznia winyli. Polscy wykonawcy musieli posiłkować się tłoczniami z Czech, Niemiec czy Francji. Od grudnia zeszłego roku ten stan rzeczy się zmienił, gdyż zaczęło działać w Warszawie GM Records. Cała historia wydaje się dość niesamowita. W czasie kiedy założyciele GM Records myśleli o uruchomieniu tłoczni, nie produkowało się nowych maszyn do tłoczenia winyli, a stare pojawiające się na aukcjach osiągały horrendalne kwoty. Przez swoje znajomości oraz zwykłe szczęście dotarli do dobrze zakonserwowanych maszyn. Urządzenia te należały kiedyś do firmy Arston, która w latach swej świetności potrafiła wypuścić na rynek 250 tysięcy sztuk albumu Franka Kimono. Niestety, wraz ze spadającym popytem spadała też opłacalność biznesu. Arston zakończył swą działalność z przytupem, popadając w dług, czego następstwem było zajęcie linii produkcyjnej przez komornika. Ale tu nie koniec całej historii. Maszyny nie posiadały

specyfikacji technicznej, czyli – mówiąc potocznie – nie bardzo wiadano, jak one działają. Ale i tę przeszkodę udało się pokonać. Pracownicy GM Records odszukali Krzysztofa Morawca, który blisko 30 lat temu pracował w Arstonie, i zatrudnili go u siebie. Historia zatoczyła koło. A zwykli odbiorcy mogli się cieszyć winylem na nowo wytłoczonym w Polsce, a był nim koncert Budki Suflera z Przystanku Woodstock.

POZYTYWNY SZPAN?

Co jest takiego magicznego w tym okrągłym kawałku polichlorku winyłu, że na powrót



obserwujemy renesans jego świetności? Odpowiedź na to pytanie nie będzie jednoznaczna. Jedni z pewnością wspomną o bardziej naturalnym i cieplejszym brzmieniu. Dla drugich będzie znaczący motyw celebracji słuchania muzyki, który w dzisiejszym pędzącym (i ze wszech miar cyfrowym) świecie będzie formą wytchnienia. Jeszcze inni powiedzą o graficznej oprawie albumu, kolorze samego winyla, który niekoniecznie musi być czarnym kołem. Ot – małe dzieło sztuki. A może wszystkie te czynniki składają się w spójną całość? Jak w każdym przypadku, gdy mówimy o sztuce, tak i tu pojawia się też element kolekcjonerski. Bo za winylem może stać ciekawa historia. Tak jak w przypadku singla zespołu The Quarrymen „That'll Be The Day/In Spite Of All The Danger”. W skład grupy wchodził: John Lennon, Paul McCartney i George Harrison. Ale nie ostrzcie sobie pazurków na tego białego kruk. Egzemplarz na świecie jest jeden i posiada go właśnie Paul McCartney.

PS Przyjaciel wpadł w odwiedzin. Cel wizyty prozaiczny. Chciał sprawdzić, czy berbec bardziej do mamy czy taty podobny. Omiótł pokój wzrokiem. – To kiedy wieszamy tę półkę na górze? Zdębiałem. Po ostatniej renowacji mieszkania myślałem, że temat prac remontowo-budowlanych mam załatwiony co najmniej na lat dziesięć z okładem. I wtedy dostrzegłem swoje winyle, bezbronnie i spokojnie leżące na dole. – To może masz czas w przyszły piątek? – odpowiedziałem. I nie myślałem, że powodem był egoizm. Kiedyś je przekażę. No bo jak by to wyglądało: ojciec przekazujący dziecku listę na Tidalu?

MÓJ PRINCE

tekst: Sławomir Kuźnicki

W ostatnich miesiącach w świecie rocka obserwujemy zjawisko, które pozwolę sobie nazwać pękaniem tamy śmierci. Odchodzą najwięksi (trudno tu wymienić wszystkich), a to dopiero początek tej smutnej, acz nieuniknionej procesji. A jednak nawet w tym szerokim kontekście śmierć niespełna sześćdziesięcioletniego, w gruncie rzeczy wiecznie młodego i ciągle hiperaktywnego muzycznie Prince'a jest szokiem.

Ale ja nie o tym, jak niepowetowaną stratą dla muzyki (nie tylko rockowej) jest odejście tego artysty; nie o tym, jak bardzo mnie to osobiście poruszyło i nadal porusza. Zamiast tego proponuję rzut oka na mojego Prince'a, tzn. na ten wycinek jego przebogatej (a przez to czasami nierównej) i różnorodnej twórczości, który jest mi najbliższy. Choć oczywiście znam i uwielbiam – albo przynajmniej doceniam – cały dorobek muzyka, to jego artystyczne poczynania z samego początku XXI w., z płytami „The Rainbow Children” (2001)

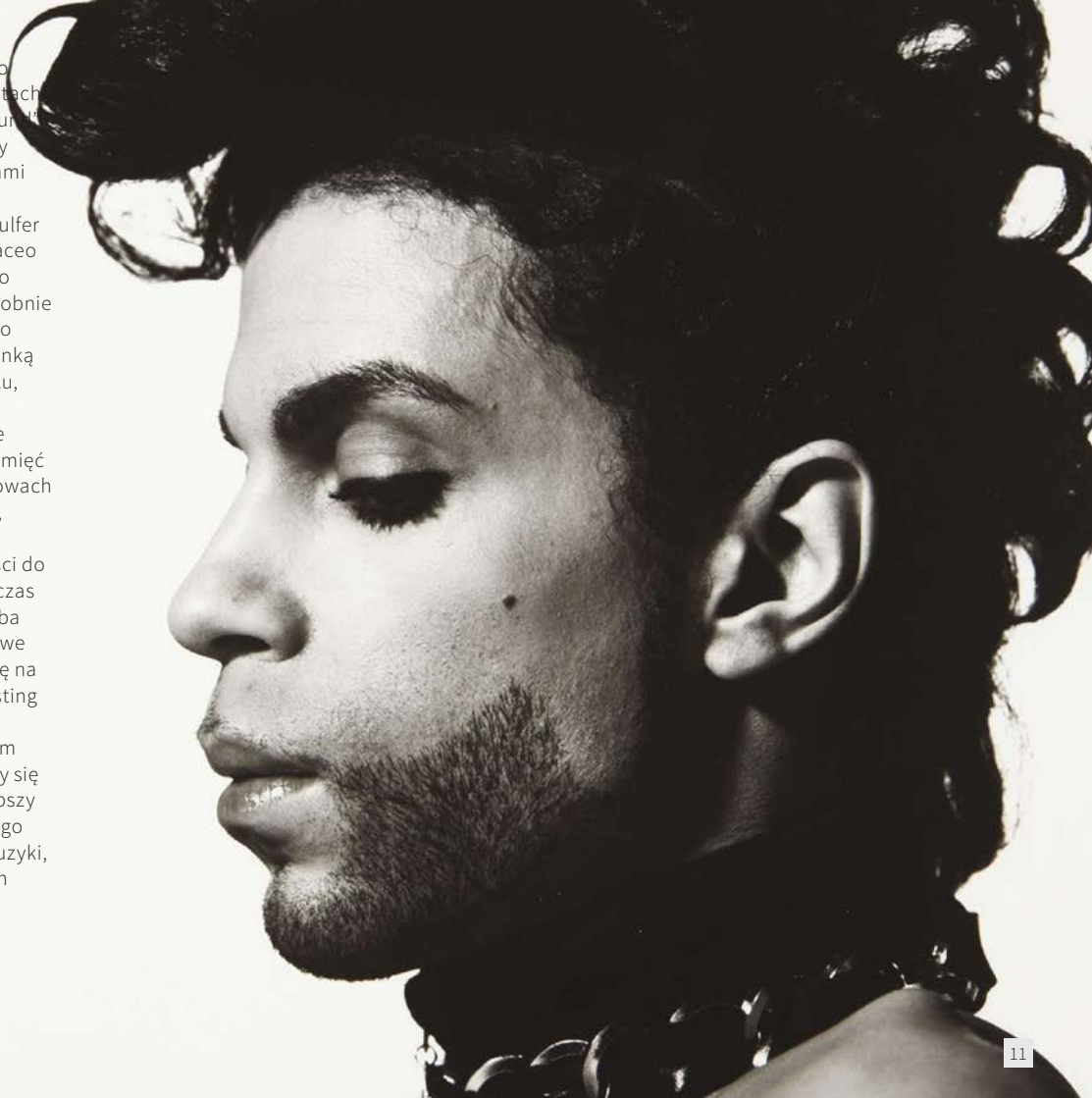
i „One Nite Alone... Live!” (2002) na czele, uważam za ten najbardziej magiczny czas. Jest to też okres w twórczości artysty stosunkowo mniej znany szerokiej publiczności, a w Polsce właściwie niezauważony. Żeby jednak zrozumieć „mojego” Prince'a z tego okresu, trzeba się cofnąć do pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Wtedy to Prince – konsekwentnie bezkompromisowy w kwestiach wolności artystycznej, zawsze starający się funkcjonować na własnych zasadach – wchodzi w otwarty konflikt z wytwórnią

Warner Bros., która kwestionuje potrzebę wydawania jego muzyki w ilościach przez artystę proponowanych (Prince zawsze służył z muzycznego ADHD). Rezultatem tego jest porzucenie przez muzyka swojego imienia – a jednocześnie marki generującej ogromne zyski – na rzecz pozawerbalnego symbolu ✎. Dopiero w drugiej połowie tamtej dekady udaje mu się zrzucić to według niego niewolnicze jarzmo, by nie tylko powrócić do swojego właściwego imienia (w 2000 r.), ale przede wszystkim pozbyć się

wszelkich zahamowań w kwestiach decyzji muzycznych. Na poziomie dystrybucji nowych płyt oznacza to zejście do wtedy jeszcze undergroundowego internetu: muzyk jako jeden z pierwszych zaczyna wydawać albumy z pominięciem wielkich wytwórni, niejako bezpośrednio udostępniając je tym najbardziej zainteresowanym. Zaczyna też proponować muzykę bez oglądania się na jej potencjał komercyjny, zamiast tego wymagając od swojej publiczności absolutnego wręcz zaufania. To w tym okresie powstają takie płyty jak akustyczna, soulowa „One Nite Alone” (2002) czy instrumentalna, jazzowa „Xpection” (2003). Przede wszystkim to wtedy artysta otoczony doborowymi współpracownikami nagrywa wspomnianą już „The Rainbow Children” i rusza w trasę ją promującą, co z kolei dokumentuje trzyplityowy zestaw „One Nite Alone... Live!”. To, co uderza na tych płytach, to radość wspólnego muzykowania i swoista organiczność



brzmienia – można wręcz powiedzieć o swego rodzaju odejściu od firmowego dla niego w latach osiemdziesiątych plastikowego „Memphis soul”. Podbity erotyzmem rytm wybija fenomenalny John Blackwell, rozimprovizowanymi pasażami klawiszowymi zachwyca Renato Neto, na saksofonach grają m.in. Holenderka Candy Dulfer i znany z klasycznych płyt Jamesa Browna Maceo Parker, a Prince gitarzysta przechodzi samego siebie, po raz kolejny udowadniając, że – podobnie jak jego wielki idol Jimi Hendrix – on i gitara to jedno. Sama muzyka jest wybuchową mieszanką klasycznego rocka, kipiącego groove’em funku, lirycznego soulu i niczym nieograniczonego jazzu. Utwory – być może nie aż tak nachalnie przebojowe jak wcześniej – wgrzają się w pamięć wolniej, ale zostają w niej już na zawsze. W słowach nowych piosenek Prince proponuje autorską, odartą z nadmiaru instytucjonalności wersję duchowości, opartą na poszanowaniu i miłości do bliźniego. A to, co mówi do publiczności podczas koncertu i jak publiczność na to reaguje, trzeba usłyszeć na własne uszy, aby poznać prawdziwe znaczenie słowa charyzma. W znajdującym się na obu omawianych tu płytach utwory „Everlasting Now” Prince śpiewa: „Don’t let nobody bring u down/ The Everlasting Now”, czyli (w wolnym tłumaczeniu): „Nie pozwól się zdołować/ Liczy się tylko trwające zawsze teraz”. I to chyba najlepszy sposób na opłakiwanie go i kojenie żalu po jego odejściu: słuchanie jego wielowymiarowej muzyki, zanurzenie się w wymyślanych i wygrywanych przez niego dźwiękach, zaufanie w pełni jego instynktowi artystycznemu.



HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI

ADWOKAT PRZYODZIANY W CZERN

Johnny'ego Casha walka o sprawę

tekst: Michał Mościcki



„Hello, I’m Johnny Cash”. Tak zaczynał każdy swój koncert, a poziom euforii wówczas osiągał szczyty, niezależnie od tego, czy grał w więzieniu San Quentin, na festiwalu Glastonbury czy w kościelnych kaplicach. Ubrany na czarno, powściągliwy Cash przeprowadzał publiczność przez opowieści o zabójcach, więźniach, kobietach i złamanych sercach. Zanim stał się „Man in Black”, szukał inspiracji w gospel, muzyce irlandzkiej i rockabilly. Przez całą karierę stanowiły one mocny fundament dla osadzonej w country twórczości artysty. Poszukiwał również drogi duchowej. Stąd wziął się czarny ubiór, który obowiązywał podczas koncertów. Cash wyjaśnił to w swojej autobiografii: „to symbol buntu przeciw status quo, przeciw obłudnym domom bożym, przeciw ludziom, których umysły są zamknięte na idee innych”.

Jego umysł był niezwykle otwarty, a muzyk doskonale wyczuwał społeczne nastroje. Gdy amerykańską sceną zatrzęśł zaangażowany folk, a koncerty Boba Dylana i Joan Baez zaczęły wypełniać sale koncertowe, Cash od razu znalazł z nimi wspólny język. Poznał Petera La Farge’a, Indianina, szarą eminencję folku i zapomnianego dziś artystę, bez którego obraz sceny lat sześćdziesiątych byłby niepełny. To właśnie La Farge zainspirował Johnny’ego do wydania płyty „Bitter Tears: Ballads Of The American Indian”, która opowiadała o tragicznych losach rdzennych plemion, zepchniętych do rezerwatów i skazanych na vegetację. Jednym z nich był Ira Hayes, któremu Cash poświęcił utwór „The Ballad of Ira Hayes”. Był żołnierz amerykańskich marines, członek plemienia Indian Pima, widnieje na słynnej fotografii przedstawiającej sześciu żołnierzy wznoszących amerykańską flagę na szczycie japońskiej wyspy Iwo Jima po zdobyciu jej przez wojska USA podczas II wojny światowej. Zdjęcie obiegło cały świat, na jego wzór wzniesiono pomnik w Waszyngtonie, a autor, Joe Rosenthal, doczekał się Nagrody Pulitzera. Fotografia potrafi przekazać więcej niż tysiące słów, lecz nie każde zdjęcie opowiada całą historię, a ta jest wyjątkowo gorzka. Zdjęcie Rosenthala ukazuje drugą próbę wywieszenia flagi, bo pierwsza



okazała się niezbyt widoczna. Trzech z sześciu żołnierzy zginęło chwilę po wykonaniu zdjęcia, podczas regularnych walk. Najbardziej ponury los spotkał Irę Hayesa, który po powrocie z wojny trafił na powrót do rezerwatu, w którym nikt nie doceniał jego heroicznego czynu. Dla Amerykanów stał się bohaterem, ale szacunek sprowadzał się jedynie do stawiania weteranowi whiskey w barze. Jego sława została wykorzystana przez władzę do sprzedaży obligacji wojennych na specjalnych spotkaniach z weteranami. Hayes nie potrafił się jednak przystosować do powojennej rzeczywistości. Pogrążyony w alkoholizmie zmarł młodo w swoim rezerwacie w nędzy i zapomnieniu. Pieśń ikony country to hołd dla wszystkich zapomnianych bohaterów, a przede wszystkim rachunek dla władzy i narodu, który w tak nikczemny sposób odpłaca walczącym za jego sprawę. To również ponury obraz życia rdzennych mieszkańców USA, których adwokatem stał się Cash. Przywracanie pamięci nie przyszło artyście łatwo, radiostacje w całym kraju uznały balladę za zbyt kontrowersyjną i pomijały w swoich playlistach. Cash wykupił ogromną reklamę w „Billboardzie” i użył wszelkich wpływów, aby utwór pojawiał się na antenach rozgłośni z całym kraju. Z powodzeniem, bo gdy pojawił się na listach przebojów, nie schodził z nich przez dwadzieścia tygodni. Misja Casha trwała przez długie lata, a wszyscy biedni, opuszczeni i wyrzuceni poza społeczny nawias mieli w nim swojego orędownika. „Noszę czerń z powodu żałoby dla istnień, których już nie ma. Każdego tygodnia tracimy setkę chłopaków. Noszę ją dla tysięcy umarłych, wierząc, że Pan był po ich stronie”. Johnny był na pewno.

KONCERT LUXTORPEDA



26.11.16

SALA KAMERALNA NCPP

BILETY:
35 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
40 ZŁ W DNIU KONCERTU



ROCK OPOLE + HIP-HOP OPOLE
28-29/05/2016 fot. Bartek Muracki





Siesta Na Tarasie:
Masala Soundsystem
02/07/2016 fot. Patrycja Wanot



Siesta Na Tarasie:
Rysy
06/08/2016 fot. Patrycja Wanot



Siesta Na Tarasie:
Novika & Mr. Lex
09/07/2016 fot. Roman Rogalski





Letnia Scena NCPP
Jarecki
05/08/2016 fot. Roman Rogalski



Letnia Scena NCPP
Carrantuohill
30/08/2016 fot. Roman Rogalski



Letnia Scena NCPP
Rebeka
27/08/2016 fot. Roman Rogalski





Jaromír Nohavica

01/07/2016 fot. Patrycja Wanot



**Zbigniew Wodecki With Mitch & Mitch
Orchestra And Choir**

02/09/2016 fot. Roman Rogalski



Enej + Mesajah

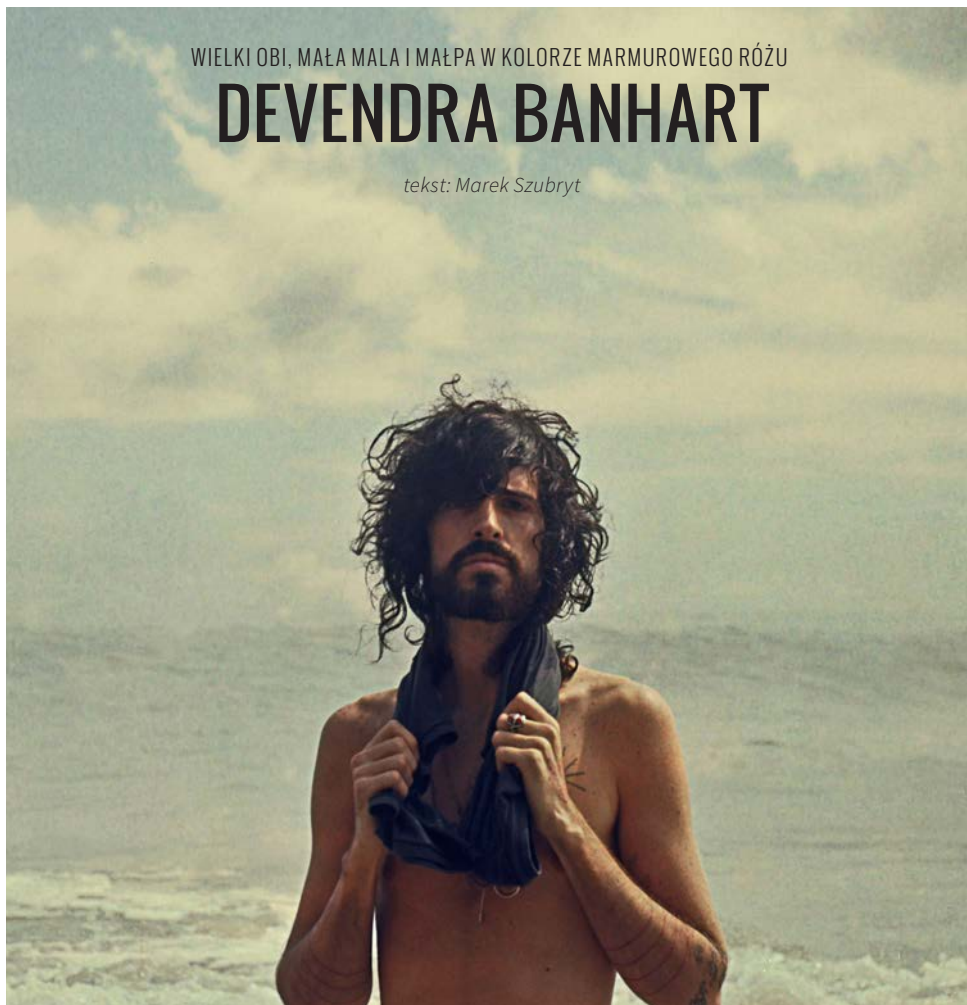
29/07/2016 fot. Roman Rogalski



WIELKI OBI, MAŁA MAŁA I MAŁPA W KOLORZE MARMUROWEGO RÓŻU

DEVENDRA BANHART

tekst: Marek Szubryt



Wyobraźcie sobie gościa, który tworzy muzykę tylko i wyłącznie podług własnych upodobań i kaprysów, robi to całkiem nieźle, za nic mając krytykę. I nie chodzi o Lecha Janerkę, tylko o dużo młodszego pół Amerykanina, pół Wenezuelczyka, który jako dziecko dwójki hipisów dość szybko nauczył się za nic mieć reguły i kanony. Do tego jego imię jest synonimem Indry – jednego z ważniejszych bogów w mitologii indyjskiej, natomiast drugie wzorowane było na bohaterze „Gwiezdných wojen” i brzmi Obi. Sami rozumiecie...

Devendra Obi Banhart nagrał już osiem naprawdę dziwnych albumów, na których mieszały się freak folk, rock, psychodelia z muzyką hinduską, glam rockiem i kameralnymi, akustycznymi dźwiękami. Brzmi ciężkostrawnie, ale nic bardziej mylnego, Banhart to bowiem nie tylko artysta nietuzinkowy i oryginalny, ale także zdolny. Miłośnicy łatek określili, że jest jednym z czołowych przedstawicieli *New Weird America* lub *Americany*, czyli połączenia rockowej psychodelii i folku z brzmieniami i rytmiką latynoską. Prawda to i nieprawda jednocześnie, bo owszem, muzyk korzysta z wszystkich wymienionych wcześniej gatunków, ale słuchając

jego albumów, zestaw określić można mnożyć w nieskończoność. Jeśli nie przyjrzy się jego twórczości dokładnie, to etykiety wyprowadzą was na manowce, ponieważ artysta, jak mało kto, uwielbia eksperymentować nie tylko z gatunkami muzycznymi, językiem (śpiewa po angielsku, hiszpańsku, portugalsku, a ostatnio nawet po niemiecku), ale także wizerunkiem. A tu rozpiętość też nie jest mała: od wyglądu niesfornego dzieciaka, przez najróżniejsze wersje dzieci kwiatów, po image iście artystowsko-hipsterski. Co więcej, jako były student malarstwa (uczelnia, a jakże, porzucił w trakcie studiów w San Francisco), Banhart projektuje również okładki swoich płyt (za jedną dostał nawet Grammy), a jego prace można było zobaczyć także w galeriach w USA i Europie. Ten krótki niby-biogram jak ułną pasuje do artysty wymyślonego przez jakąś agencję na potrzeby odbiorców „bardziej indie”. Niesforny, zbuntowany młodzieniec, który „komponuje, tańczy, maluje” i do tego jeszcze bawi się swoim wizerunkiem, dzięki czemu jeśli nie wyznacza trendów, to na pewno staje się istotnym przedstawicielem lub nawet ich ikoną. I wzorcem do naśladowania. Z agencjami kreującymi gwiazdy popkultury Banhart ma niewiele wspólnego, prawdą jednak jest,



że sztukę autokreacji opanował niemal do perfekcji, a dzięki temu, że porusza się po wielu polach, zarządzanie swoim wizerunkiem i karierą wychodzi mu znakomicie. Od brodatego hipisa po wystylizowanego mężczyznę rodem z katalogu jednej z popularniejszych marek odzieżowych. Wystarczy nazwisko artysty wpisać w wyszukiwarkę lub obejrzeć kilka teledysków, które nagrał na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, by się od razu pogubić, tylko jakie ma to znaczenie? W wywiadach artysta zżyma się, kiedy dziennikarze próbują umieścić go w jakimś konkretnym stylu muzycznym, stale podkreślając, że łatki i szufladki prowadzą donikąd. Urodzony w Stanach Zjednoczonych, jako

kilkulatek wyjechał po rozwodzie rodziców do kraju pochodzenia swojej matki – Wenezueli. Wróciwszy do USA już jako nastolatek, został tam na stałe, by jako dorosły mężczyzna i początkujący artysta wybrać się na wycieczkę po świecie. Mieszkał zarówno w Los Angeles, San Francisco i Nowym Jorku, jak i Paryżu czy Maroku. I tu znów mamy do czynienia z historią jak z filmu o zbuntowanym młodzieńcu. Podróżując po świecie, często klepał biedę, mieszkając kątem u znajomych i grając na ulicy, do czasu aż został odkryty przez żonę lidera Swans, Michaela Giry, który zaproponował mu nagranie płyty w swojej wytwórni. Jeśli się jest krnąbrnym i ambitnym początkującym artystą, takich

propozycji – niezależnie od warunków – się nie odrzuca, dlatego w Young Gods Record Banhart nagrał dwa albumy, by po jakimś czasie i kilku perturbacjach trafić do Warnera, jednej z największych wytwórni na świecie. Mogłoby się wydawać, że znalezienie się u tzw. majora będzie ukoronowaniem wieloletnich starań oraz spełnieniem marzeń o zabezpieczeniu finansowym i potrzebnym prestiżu, jednak nic bardziej mylnego. Niewykluczone, że kosztem honorarium – kto to wie? – ale Banhartowi udało się wybić na swego rodzaju niepodległość, dzięki czemu zamiast pod szyldem Warner jego albumy wydawane są w Nonesuch Record, będącej częścią wspomnianego majora, ale – jakkolwiek by to źle nie brzmiało – wydającej artystów z półki premium, którzy rzekomo mogą się cieszyć nieskrępowaną wolnością artystyczną. Jak się szybko okazało, wyszło to na dobre zarówno Devendrze, jak i wytwórni, bo jego ostatni album „Mala” jest określany jako największe osiągnięcie w dorobku artysty. Czy tak jest naprawdę, polecam przekonać się osobiście (muzyk nagrał osiem albumów), ja w każdym razie podpisuję się pod tym zdaniem obiema rękami. Może kieruję się sentymentem, występ promujący ów krążek miałem bowiem okazję

słyszeć na żywo, niemniej jednak od czasu wydania „Mali” Banhart stał się gorącym nazwiskiem, a występ jego zespołu na tym czy innym festiwalu jest zawsze wydarzeniem. Artysta zagrał w tym roku na Off Festival jako jeden z tzw. headlinerów pierwszego dnia. Co ciekawe, jego koncert poprzedzał występ Brodki, z którą artysta jest zaprzyjaźniony. W wywiadach obie strony się komplementują bez końca, a Polka wspomina o pomocy, jaką otrzymała od Devendry podczas nagrywania swojej ostatniej płyty w Los Angeles, nazywając Banharta mentorem i ojcem chrzestnym albumu „Clashes”. – Jeśli ja jestem ojcem chrzestnym, to ona jest matką grzeszną. Uwielbiam ją, jest moją prawdziwą przyjaciółką. To dla mnie zaszczyt i wielkie szczęście, że mogłem wpadać do studia, kiedy pracowała nad swoją płytą, i usłyszeć przedpremierowo niektóre piosenki. Zaczęło się od tego, że błyskawicznie zostałem fanem jej muzyki, a potem od razu się zaprzyjaźniliśmy. To jest dla mnie bardzo ważna relacja, którą pielęgnuję. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona. Jest najprawdziwszą artystką – mówił Banhart podczas wizyty w Katowicach portalowi Onet.pl. Wspominanie przez Brodkę o tej znajomości – jak to w Polsce –



budziło na zmianę podziw oraz zazdrość i złośliwy uśmiech, ale niewykluczone, że dzięki tej relacji na kolejnych płytach usłyszymy Devendrę śpiewającego w naszym języku, ponieważ na stwierdzenie Haliny Jasek, że jego polski jest zaskakująco dobry, artysta odpowiedział: – Miło mi słyszeć pochwały. Motywuje mnie to, żeby poprosić moją polską przyjaciółkę, która także jest muzykiem, o pomoc w napisaniu piosenki po polsku. Zanim to jednak nastąpi, od niedawna w sieci można słuchać „Middle Names”, utwór zapowiadający „Ape in Pink Marble”, dziewiąty album w dorobku artysty, który ukaże się 23 września. Sądząc po zapowiedzi, możemy spodziewać się płyty oszczędnej i melancholijnej, jednak znając Banharta – nie pozbawionej również subtelnej wesołości, dlatego – o ile nie połączymy go z Bon Iverem i Jamesem Blakem – nie grozi nam dawka smutku i zastanowienia, które spowodują, że w listopadzie zalani łzami niektórzy przedawkują herbatę z malinami.

SZAFKA GRAJĄCA, CZĘŚĆ 10:

SWANS

WHEN WILL I RETURN [KIEDY POWRÓCI JA?]

tekst: Sławomir Kuźnicki & Bartosz Suwiński

Prowadzone przez genialnego i jednocześnie szalonego Michaela Girę Swans to nieposkromiona, na nic i na nikogo nieogładająca się bestia. Chyba najlepiej słyhać to na wydanej w ostatnich latach trylogii „The Seer” (2012), „To Be Kind” (2014) i „The Glowing Man” (2016). Każda z tych płyt zawiera dwie godziny muzycznego misterium: od minimalizmu do ściany dźwięku, od neofolku do noise’u, od dark ambientu do postrocka, od nabrzmiewającej awangardy do piękna czystej melodii. Zdecydowanie nie jest to muzyka dla każdego: Swans tworzą tylko i wyłącznie dla wtajemniczonych i wybranych. „When Will I Return” to jeden z najpiękniejszych, ale też najbardziej mrocznych momentów ostatniej płyty. Można go odczytać jako portret psychologiczny ofiary i historię bolesnego powrotu do jakiejś formy normalności. Ale taka jednowymiarowa kontrowersyjność to dla Swans za mało. Śpiewana przez żonę lidera, Jennifer Girę, pieśń jest jednocześnie próbą zmierzenia się ze słowami piosenkarki Larkin Grimm, która oskarżyła Michaela Girę o gwałt. Choć oskarżenia te państwo Gira zgodnie uznają za pomówienia i tanią próbę zdobycia rozgłosu, to pewna dramatyczna dwuznaczność – jakże pasująca do twórczości Swans – pozostaje.



One, two, three, four

His hands are on my throat

My key is in his hand

I'm splayed here on some curb

Shards of glass say starry night

When will this pigman stop?

His stink is like the dog

My life is mine to keep

I still kill him in my sleep

The car door is open wide

The mouth of death still calls my name

I'll beat him on his face

And I stab with all my strength

And I scream until he goes

I scream until he's gone

Then I crawl across the road

Then I crawl across the road

When will I return?

When will I return?

(Aaaaaah) Oh I'm alive

(Aaaaaah) Oh I'm alive

(Aaaaaah) Oh I'm alive

(Aaaaaah) Oh I'm alive...

raz dwa trzy cztery: już

w zaciśniętej pięści klucz do mnie

jego dłonie na mojej szyi

*moje usta wypuszczają strzępy
powietrza*

twarz wciśnięta w fakturę betonu

ja w odbiciach jego podeszew

moje życie jest tylko moje

zabijam go w sobie co sen

dżgam wiję się wpełzam w noc

odpędzam krzykiem jak kijem

odszedł: kiedy powróci ja?

cztery trzy dwa jeden: żyję

CZARNY ŁABĘDŹ

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Odliczasz w głowie kolejne zdarzenia. W interwałach czasu zapada się muzyka jak drewniana chatka na polu, o którym pamięta już tylko wiatr.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Kolejne chwile nakładają się na siebie jak cienie, tuż przed zmierzchem, jeszcze przez chwilę będące po stronie widzenia.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Ziemia jest niewzruszona. Leczące w oddali ptaki są jak kolejne dźwięki, które budują przestrzeń, dom dla czułych na struny, na jej drgania i najmniejsze pociągnięcia. Struny tych gitar są jak pędzle. Sztaluga stoi w kącie twojej głowy. Szukasz jej ze sporyszem w oczach.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Instykt jest pierwotny, muzyka intuicyjna. Ocieramy się o zbliżający się obłęd zmierzchu i kawalkadę dźwięków rozguzowujących ciemny hotel bytu, na którego schodach zapadają się kroki pokojówki niosącej ogarek światła.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Klucze do naszych pokoi znajdują się w mantrycznej frazie, w dźwiękach powtarzanych jak ćwiczenia w osiągnięciu pustki. Jesteśmy tak blisko siebie, że zapominamy o reszcie, z której składamy puzzle naszej wyobraźni.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Te piosenki dewastują zapomniane piętra rzeczywistości. Schodzą głębiej. W nas. I zaczyna się coś nowego, coś, co dopiero otworzy nam świat dźwięków, stanie się teraz. Już. Tylko ten jeden raz, by powtarzać to do olśnienia. Jeden wyraz za cały oddech.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Noc niepostrzeżenie przechodzi po niebie jak niewidomy po kładce, na drugi brzeg, z którego ochoczo ptaki rzucają się w przepaście.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Kiedy kończy się sen, roztrząskujesz się o beton codzienności. Echa urwiska są pomyłonymi głosami, które nie poznają ust, do których wracają.

Cztery trzy dwa jeden: żyję. Tak brzmi noc. Ciemność dławi czas.

MICHAEL KIWANUKA „LOVE & HATE”



BBC, wskazując co roku „najbardziej obiecującego artystę”, myli się niezwykle rzadko, a dokonania Michaela Kiwanuki są jedynie potwierdzeniem tej tezy. Nadal młody, wciąż obiecujący, ale już z doskonałym albumem na koncie artysta serwuje nam kolejny krążek. To przepelniony soulem album z niezwykle przystępną domieszką folku i brzmień z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zgoda, takich projektów było sporo, ale ten zdaje się wyjątkowy za sprawą niezwykle melancholijnych, słodko-gorzkich tekstów, zaśpiewanych z emocją godną Marviną Gayą i Curtisa Mayfielda. To nie przesada. Odwaga i prawda bijąca z twórczości londyńczyka wciążą i pozwala delektować się nawet długimi,

opatrzonymi rozbudowanymi wstępami utworami. Idzie jesień, proponuję dodać do playlisty „Love & Hate”. Zadziała.

Michał Mościcki

GOJIRA „MAGMA”

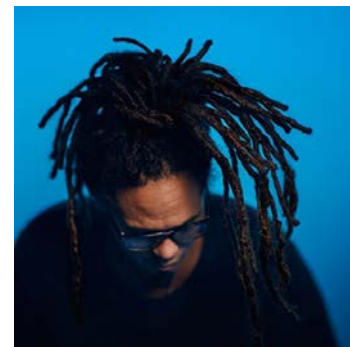


Wiedziony potrzebą znalezienia ciekawego zespołu grającego ciężką muzykę szukałem, szukałem, aż trafiłem na Gojirę. Uwielbiam, kiedy moc, siła, huk idą w parze z pomysłem i kunsztem, ale nie spodziewałem się spełnienia brutalnych muzycznych doznań znaleźć u Francuzów – cenię ich za wiele, ale na bogatą scenę okółometalową nie liczyłem. Tym miłsze było zaskoczenie, bo „Magma” to świetna płyta, która przypadnie do gustu wszystkim tym, którzy lubią ciężkie brzmienia, nie znosząc

jednocześnie przesterowanych, odgrzewanych kotletów. I tak sobie słuchałem kolejny, i kolejny raz Gojiry i tylko jedna natrętna myśl nie dawata mi spokoju: super, ale trochę podobne do mistrza nad mistrzami, czyli Mastodona. Tymczasem – o, ja głupi! – okazało się, że stanowiący trzon grupy bracia Duplantier założyli grupę trzy lata przed Amerykanami. Kolejne zaskoczenie, ale to i tak nic w porównaniu z samą „Magma”, która jest po prostu bardzo dobrą płytą. Zaleca się.

Marek Szybryt

DELLÉ „NEO”



Nadzieje polskich fanów berlińskiej grupy Seeed na koncert w naszym kraju zostały pogrzebane dawno temu, powoli gasły również widoki na kolejną płytę kolektywu. Czas oczekiwania niespodziewanie

postanowił umilić Dellé, jedna trzecia pionu wokalnego grupy. Jego drugi album „NEO” niczego nadzwyczaj nowego nie wnosi, ale nie oznacza to, że płyta jest w jakikolwiek sposób wtórna. Po prostu trzyma należyty poziom. Jak zwykle doskonale wyprodukowane, świetnie brzmiące kompozycje pompują zdrową dawkę reggae, dancehallu, ale i ballad podlanych Seeedową alchemią. Frank Dellé nie stroni również od ważkich tematów, co nie jest bez znaczenia dla całości wydawnictwa, a obecność Gentlemana wśród gości to dodatkowa rekomendacja. Solidna robota.

Michał Mościcki

JULIANNA BARWICK **„WILL”**



Urodzona w Louisianie wokalistka jest zjawiskiem osobnym i odrębnym. Ma wrażliwość Kate Bush, jest

niepodległa modom jak Lisa Gerrard, ma w sobie oniryzm i charyzmę, które mogłaby jej pozazdrościć Björk. Muzyka, którą proponuje na swoim piątym albumie, jest niezwykle intymna i przestrzenna. Świadczy o ogromnej wrażliwości młodej artystki, która bez żadnego zachnięcia, od samego początku, podąża swoją oryginalną drogą. Barwick porusza się na styku intymistyki połączonej z senną aurą roztaczanych przez kolejne melodie krajobrazów. To muzyka sferyczna, zmysłowa, eteryczna, która podbija wewnętrzne światy od pierwszego oddechu i daje wyobrażenie tego, czym może być czuły dźwięk, zablizniająca kolejną ranę.

Bartosz Suwiński



THE AVALANCHES **„WILDFLOWER”**

Szesnaście lat czekał kolektywi didżejski z Melbourne na swoje kolejne wydawnictwo. Ich debiut „Since I Left You” utkany z setek sampli stał się w muzyce elektronicznej pozycją klasyczną. Co się zmieniło przez ten czas u The Avalanches, oprócz tego, że z ośmioosobowego składu przekształcili się w trio? To wciąż misterne sklepanie niezliczonej ilości sampli, tworzące całkiem nowe kompozycje, tylko tym razem wspomagane żywymi instrumentami oraz wokalistami i raperami. Zestaw gości robi wrażenie. Bo są to: Ariel Pink, MF Doom, Toro Y Moi, Father John Misty czy Danny Brown. Muzycznie cały album to niezła karuzela gatunków takich jak: soul, hip-hop, disco czy psychodelia lat sześćdziesiątych. I trzeba przyznać, że te wszystkie gatunki pięknie ze sobą współgrają. Tworząc bezpretensjonalną i pogodną płytę. Mam tylko jeden zarzut do Australijczyków. W moim odczuciu płyta traci tempo, a dokładniej rzecz ujmując, od połowy albumu mam wrażenie, że to wciąż przyjemne dla ucha kompozycje, ale jakby trochę przewidywalne. Co nie zmienia faktu, że nowe wydawnictwo The Avalanches dostarczy wam furi przyjemności.

Rafał Czarnecki

CLASSIXX **„FARAWAY REACH”**



Powiedzmy to sobie szczerze: lato w tym roku było dość podłe. Postarałem się więc wyszperać jakąś płytę, która by choć trochę zrehabilitowała chroniczny brak słońca. I tu z pomocą przyszli Tyler Blake i Michael Dawid, czyli didżejsko-producencki duet Classixx. A jako że panowie na stałe mieszkają w Los Angeles, więc na słońcu i pogodnych rytmach znają się wyśmienicie. Pewnie dlatego ta płyta jest jak dobra impreza. Znajdziecie na niej utwory, które idealnie pasują do trójcy każdego imprezowicza, czyli before, impreza właściwa i tzw. after. A wszystko to w rytmach house, disco, balearic. Warto jednak wspomnieć, że tym razem Classixx w o wiele większym stopniu niż na debiucie posiłkowali się gośćmi,

że wymienię choćby tylko Passion Pita, T-Paina czy wschodzącą gwiazdę r'n'b How To Dres Well. Przełożyło się to na potencjał radiowy (i w ogóle komercyjny) albumu. Ale nie ma w tym nic złego, bo nie jest to tanie mizdrzenie się do słuchacza.

Rafał Czarnecki

SWANS „THE GLOWING MAN”



Ostatnie, dwupłytowe wydawnictwo, które zamyka trylogię rozpoczętą przez Michaela Girę w 2012 roku płytą „The Seer” (dwa lata później ukazało się „To Be Kind”), potwierdza, że nowojorski zespół jest w znakomitej i niepodrabialnej formie. Muzyka Swans jest doznaniem organicznym, anektującym całą percepcję swoim bezkompromisowym przekazem. Wymagającym skupienia i zestrojenia z nawarstwiającą się z impetem repetycją, ocierającą się o transcendencję. Muzyka Swans ma w sobie coś z rytuału, któremu trzeba się absolutnie podporządkować, dać się nieść dźwiękom. Improwizacje za każdym razem są narodzinami muzyki. Plemiennosc, „prymitywizm”, rytualność – trzy słowa, które trafiają w sedno.

Bartosz Suwiński

KONCERT

HEY

04 GRUDNIA



NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

SALA KAMERALNA

BILETY: 49 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ, 55 ZŁ W DNIU KONCERTU

#12 wrzesień 2016

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka: ilustracja – Kamil Pieńniewski

Opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieńniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński

Korekta: Krzysztof Szymczyk

Nakład: 2000 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskie
Piosenk

MIC
muzyczny informator culturalny



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole

KONCERT

DR MISIO

02.12.16
SALA KAMERALNA NCPP



BILETY:
35 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
45 ZŁ W DNIU KONCERTU



FISZ EMADE TWORZYWO

12.11.2016

SALA KAMERALNA NCP

BILETY: 40 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ, 50 ZŁ W DNIU KONCERTU

REPERTUAR



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

05.11

ORGANEK

12.11

FISZ EMADE TWORZYWO

14-17.11

TYDZIEŃ FILMU NIEMIECKIEGO

19.11

LADY PANK

25.11

TACO HEMINGWAY

26.11

LUXTORPEDA

02.12

DR MISIO

03.12

LIPALI

04.12

HEY

11.12

WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET



REPERTUAR



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

01.10 **DONGURALESKO**

02.10 **VEGANMANIA**

05-14.10 14 FESTIWAL FILMOWY OPOLSKIE LAMY
5.10 **NATALIA PRZYBYSZ** / 12.10 **DAGADANA** / 14.10 **XXANAXX**

07.10 **JAFIA**

08.10 **SOLD MY SOUL**

15.10 **DECAPITATED**

16.10 **X PODBIEGI**

16.10 **JULIA VIKMAN**
PIESNI OKUJZAWY, GERMAN, WYSOCKIEGO

19-22.10 **V OPOLSKI FESTIWAL GÓR**

29.10 KONCERT LAUREATÓW INTERNETOWEGO GŁOSOWANIA OPOLSKICH ELIMINACJI DO DEBIUTÓW.
KAMILA DAUSZ, AGNIESZKA 'CHOSOWI' ADAMCZEWSKA, RAVEL



KURNIK.

CHICKEN BAR

KURNIK
KULTURALNIE

☎ 794 640 519

🏠 Plac Kopernika 9/1b

REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA - REKLAMA

PUB OPOLE GŁÓWNE

Żakaski - Przekaski

ul. Krakowska 48
45-075 Opole

tel. 77 546 10 43

www.facebook.com/baropoleglowne